

A. R. Green

Zbrodnia w „Białym Domku“

Tłumaczyła: Marya Segeny.

— Co pan mówi? Drzwi nie były zamknięte? Niema w tem nic dziwnego. Pomimo swojej głuchoty, pani Clemmens nie zamykała nigdy drzwi na klucz. Mówiła mi jej kilkakrotnie, że odpokutuje kiedy za ten brak ostrożności, ale nigdy posłuchać mnie nie chciała. Nie widać nikogo w pobliżu. — dodał Ormond wyglądając przez drzwi.

— Przypuszczam, że nie jest możliwym, aby morderca uciekł w tamtą stronę. — odparł pan Lord — Ogród jest otoczony moczarami, pełnymi dziur, nikt by się nie odważył awanturować tamtędy. W przeciwnym wypadku miejsce to byłoby bardzo wygodne dla rzezimieszków. Las znajduje się o parę set metrów. Pan coś mówi?

— Nie, ale zdawało mi się, że słyszę jęk jakiś.

— To ja, panie Ormond. — rzekł prokurator — Wydałem mimowolny okrzyk zdumienia, a jest na prawdę czem się wzruszyć. Ta kobieta żyje jeszcze!

— Żyje jeszcze!... — zawołali jednocześnie obydwaj mężczyźni.

— Patrzcie... oddycha... Należnik, który ją do tego stanu doprowadził, nie dokonał swojego dzieła. Kto wie? Może ona będzie mogła go nam wskazać?

— Wątpię. — odparł Ormond — Uderzenie tak silne, chociaż nie śmiertelne, pozostawia zawsze ślady po sobie. Umysł jej mógł uleść wstrząśnieniu.

— W każdym razie trzeba natychmiast przywołać lekarza. Gdyby tylko doktor Fradvell był w domu!

Tymczasem już tłum zbierał się pod białym domkiem i w chwili, kiedy pan Ormond wychodził do pokoju, kilka osób wtargnęło, tłocząc się gorączkowo. Pomiędzy nowoprzybyłymi znajdował się właśnie doktor Fradvell, który natychmiast zajął się raną.

Przeniesiono panią Clemmens do sąsiedniego pokoju, gdzie położono ją na łóżku i wrócił drugi lekarz, zawezwany bezzwłocznie, zasiadł obok niej, bacząc na każdy ruch i słowo chorej.

Na rozkaz doktora Fradvella, który był równocześnie burmistrzem w miasteczku, zebrana publiczność cofnąć się musiała w głąb ogrodu. Czekało z niecierpliwością na powrót młodego człowieka, wysłałego za poszukiwaniem garbusa, o którym już ogólnie mówiono.

— Złaje mi się, że jeszcze przedwcześnie jest interweniować w tej sprawie. skoro pani Clemmens żyje jeszcze. — rzekł doktor Fradvell — Starać się będziemy otrzymać od niej jak najwięcej szczegółów, ale spieszyc się musimy, bo to kwestya dwóch lub trzech godzin najwyżej. Zanotuję sobie tylko na razie stan położenia. Zwracam panom uwagę, iż spostrzegłem, że w chwili otrzymania ciosu ta biedna kobieta zajęta była nakręcaniem zegara.

Mówiąc to, wskazywał ręką na wielki zegar, zajmujący róg sali jadalnej, którego szkło nie było zamknięte.

— Nie miała czasu dokonać nakręcania. Wiadzę, że zegar ten opóźnia się o dziesięć minut podczas kiedy zegarek pani Clemmens wskazuje dobrą godzinę. Została uderzona z tyłu niespodzianie. Gdyby była słyszała kroki napastnika, byłaby się z wszelką pewnością odwróciła i wtedy uderzenie spadłoby z boku. Głuchota jej była w każdym razie sprzyjającą okolicznością dla zrodniarza. Ciekawy tylko jestem, jaki mógł być powód tej zbrodni? Jeżeli chciano ją zabić w celu rabunku, to dlaczego nie zabrano zegarka, który trzymała w ręce? Zwyczajny złodziej nie omieszkaby tego uczynić.

— Czynu tego nie dokonał złodziej zwyczajny.

— Może pan ma słuszną. Wszystko jest możliwe. Co z tą polaną, którem się morderca posłużył, to najoczwiejście wziął je z tego stosu, złożonego przy kominku. To jednakże z trawiające, jak najdrobniejsze szczegóły zgadzają się z przypuszczeniem tego garbusa.

— Kto wie, czy on sam nie jest sprawcą tego czynu? Któż to idzie?

Był to pan Byrd, który z trudnością przecisnął się przez tłum i wchodził do pokoju.

Pan Ferris przystąpił do niego spiesźnie.

— No i cóż, Byrd? Czy udało się panu? Czy pochwycono już garbusa?

— Nie, panie prokuratorze. — odparł młody detektyw — Nie udało nam się. Garbus znikł nam z przed oczu. Agent Hunter poszedł jeszcze za jego śladem i przyjdzie tu wkrótce zdać raport. Ale za

to spotkał się i ujęł włóczęgę, który przechodził koło białego domku podczas naszej rozmowy.

— Naprawdę? — zawołał pan Ferris tonem lekkim ironii — Coż panu kaza wypuścić go, żeby on był wmieszany w tą sprawę? Czy może na przekonanie pana wpłynęła uwaga prezydenta, dotycząca się podejrzanego wyglądu tego człowieka.

Młody detektyw poczerwieniał z rozdrażnienia.

— Nie, panie! — odpowiedział spokojnie — Nie mam zwyczaju budować swoich przekonań na cudzych słowach. Ale gdyby mi pan zechciał opowiedzieć, w jakich okolicznościach i warunkach znaleziono cię, wytłumaczyłbym panu, dlaczego tego włóczęgę uważam za winnego.

— Z przyjemnością. Proszę, niech pan przejdzie na tamtą stronę stołu. Czy widzi pan ten zegar? Pani Clemmens nakręcała go właśnie w chwili, kiedy uderzona została. Narzędzie zbrodni leży tu, przed panem. Jak pan widzi, to zwykłe polano drzewa, wzięte z tego stosu. A teraz niech pan sobie przypomni słowa garbusa. To miejsce jest bardzo uczęszczane. Widzieliśmy sami wchodzących i wychodzących kilka osób. Broni zależono na miejscu. Wszystko się doskonale zgadza. I według mojego zdania byłoby rzeczą niemożliwą, żeby ten garbus nie brał udziału w urzeczywistnieniu tak nagłym swojego śmiałego przypuszczenia.

— Czy pozwoli mi pan zadać sobie pytanie? — odparł młody detektyw — Czy według orzeczenia lekarza zbrodnia została dokonana na chwil tylko kilka przed jej odkryciem?

— Tak jest. Znalezione w kuchni śniadanie gorące jeszcze, przygotowane przez panią Clemmens, dla pana Ormonda.

— W takim razie — rzekł stanowczym głosem młody detektyw — wystarczy tylko słowo, aby pana przekonać że mordercą nie może być garbus. Znajdował się on już od pewnego czasu na sali sądowej w chwili zawieszenia rozprawy. Wiem o tem, bo sam go widziałem.

— Jesteś pan pewnym tego? — zawołał pan Ferris zaskoczony.

— Najpewniejszy! Siedział tuż przy drzwiach. Postawa jego i rude włosy zwróciły moją uwagę.

— To ciekawe! — mruknął prokurator niezadowolony ze przypuszczenie jego okazało się fałszywym.

— To jest nawet do tego stopnia ciekawe — podjął doktor — że nie uwierzę, aby ten garbus pozostał cały czas w sali. Stał do palacu światła jest nadzwyczajnie blisko. Mógł się wysunąć w pewnej chwili, nie będąc przez pana widzianym.

Pan Byrd nie odpowiedział wręcz na tę uwagę.

— W ówczesną chwilę — wyrzekł od niechcenia — to nainiebezpieczniejsza kasta ludzi.

Prokurator w tej chwili szybkim ruchem ręki zasłonił kilka monet srebrnych, leżących na stole.

— Słuchajcie, Byrd! — rzekł poważnie — Przyznać musisz, że włóczęga każdy jest przedewszystkiem złodziejem. Młody człowiek nie może być wytłumaczony nagłym napadem wściekłości, bo ciało ofiary nie wykazuje żadnej walki. Pani Clemmens nie mogła rozdrażnić swojego napastnika z tej przyczyny, że nie słyszała nawet jego wejścia i została nagle zaskoczona. Pozostaje więc tylko jako motyw kradzieży. Czy więc włóczęga, wchodzący dla kradzieży, mógł pozostawić te pieniądze, leżące, tu na widoku?

Pan Ferris równocześnie odsunął się od stołu i wskazał na monety srebrne, na nim leżące.

Detektyw potrząsnął głową, ale nie zdawał się być przekonany.

— To pewnie jedna z tych anomalii, zdarzających się często — rzekł, uśmiechając się — Może zbrodniarz pomylił się w ostatniej chwili swojego zbroju, może u niego przyszedł odzick lub co najprawdopodobniejsze, zdawać się mu mogło, że słyszy czyjeś kroki i uciekł, nie wykorzystawszy sytuacji. W każdym razie włóczęga wydaje mi się bardziej podejrzaną osobistością, niż garbus.

Detektyw, przy tych słowach, skłonił się głęboko przed urzędnikami i oddalił się dyskretnie.

— Ten młody człowiek może ma słuszną — zauważył pan Ferris — ale, co do mnie, wierzę dopiero wówczas, kiedy mam w ręce jakiś dowód. A nikt mi nie wytłumaczy, że słowa garbusa były rzucone bezmyślnie i bez przyczyny.

Przekleństwo.

Dwie godziny upłynęło, zanim pani Clemmens, strzeżona przez lekarza i jedną ze sąsiadek, udzieliła przystępności umysłu.

Pan Ormond rozmawiał w salonie z prokuratorem, opowiadając mu to, co wiedział o życiu pry-

watnem wdowy, którą znał już od lat wielu. Jadał bowiem u niej obiady i śniadania codziennie.

W ogrodzie zaś tłum rozciekawiony tłoczył się coraz bardziej gorączkowo, czyniąc różne uwagi i domysły.

— Nie sędzę, żeby wyszła z tego — mówił gruby mieszczanin — kiedy się dostało w głowę takie uderzenie...

— Doktor powiedział, że nie doczeka nocy — zawołała młoda służąca, bardzo zadowolona z posiadania tak ważnej wiadomości.

— W takim razie sprawa tego włóczęgi stanie się jasna — rzucił ktoś jeszcze — prędko się z nim rozprawią.

— Nie można sądzić człowieka na niepewnych podstawach — odparła stara jeźmić surowym głosem — Czy widział go kto wchodzącego do białego domku?

— Panna Perkins utrzymuje, że widziała go wchodzącego do ogrodu.

— Musiała widzieć nie tylko jego, bo wiele osób kręciło się dzisiaj tędy.

— Przyszedł także druciarz ze swoim towarem. Pani Clemmens była nawet bardzo rozmawiana na niego i wyrzuciła go za drzwi, grożąc miotłą.

— Nie lubiła nigdy ludzi tego rodzaju.

— Pani Clemmens była żywa, ale serce miała bardzo dobre.

Rozmowa toczyła się dalej. Ale Byrd, oparty o sztachety o kilka kroków od rozmawiających, pomimo natężonej uwagi, nie mógł posłyszeć coś, mającego dlań jakąkolwiek korzyść.

Nagle zrobił się w tłumie jakiś ruch, po którym nastąpiła cisza zupełna, przerywana donośnym, głosem kobiecym:

— Cóż to się dowiaduję? Pani Clemmens nie żyje? Z morderką została przez włóczęgę? Czy to być może?

Wszystkie spojrzenia skierowały się w stronę nowoprzybyłej.

Była wysoka, doskonale zbudowana, o postawie dziwnie majestatycznej i budzącej podziw i szacunek.

Młody detektyw został olśniony. Twarz młodej dziewczyny, o regularnych rysach, miała w wyrazie wielkich, szarych oczu i ust dumnie wykrojonych, coś tak pociągającego, że mimowoli spojrzenia wszystkich zatrzymały się na niej. Musiały. Coś tajemniczego i niepokojącego czaiło się w rysach Beatryczy Darnell. Widniała w niej zagadka, nie dla każdego łatwa do rozwiązania.

W chwili obecnej widocznym było, że silne wzruszenie wstrząsało młodą dziewczyną.

— Dlaczego nikt nie odpowiedział? — zapytała po chwili, nie zdając sobie sprawy, że dla osób, nie znających jej, postawa jej niepokojąca nie bardzo zachęcała do zwierzeń.

— Mówią, że pani Clemmens nie umarła jeszcze — odezwał się w końcu chłopak od rzeźnika, odważniejszy od innych.

Cóż przemknął po twarzy młodej dziewczyny. Zchłodziła się, jak gdyby upaść miała. Wyprostowała się jednak natychmiast siłą woli, zaciskając nerwowo drobne dłonie.

— To okropne! To okropne! — szepnęła — Nie z tego dobrego wynikać nie może!

Oczyszczyła się gwałtownym ruchem ramion i nagle zwróciła się do otaczających.

— Czynu tego dokonał podobno jakiś włóczęga? — zapytała.

— Tak mówią. — brzmiała odpowiedź — Znamy go, przehwycili go już.

— Już policja go pochwyciła, to zapewne jest winny! — odparła stanowczym głosem miss Darnell, wchodząc do ogrodu.

Pan Byrd, nie zwracając uwagi na szmer, towarzyszący odejściu młodej dziewczyny, pochylił się, słuchając ją wzrokiem, kiedy jakaś stara kobieta, o sepm profilu, podeszła do niego. Coś w wyrazie twarzy starej popchnęło Byrda do zapytania jej:

— Czy znacie tę panią?

— Tak — odparła ostrożnie stara, uśmiechając się złośliwie.

— Może to krewna zamordowanej?

— Nie. Nie zna jej nawet.

Pan Byrd cofnął się do odejścia, ale stara chuda, koścista ręka, uchwyciła się jego ramienia.

— Mówię, że jej nie zna, bo nie odwiedzała jej nigdy, ale poza tem...

Detektyw uwołał się z rąk starej, ruchem głowy wskazując, że rozumiał ją.

— Trzeba się tem zająć — szepnął do siebie, udając się do białego domku.

Natychmiast spostrzegł miss Darnell.

Stała na środku salonu, ze wzrokiem utkwionym